

Chochoł



WARSZAWA
WYDAWNICTWO „SPOŁECZEŃSTWA”

1909.

<http://rcin.org.pl>

Chochoł



WARSZAWA
WYDAWNICTWO „SPOŁECZEŃSTWA”

1909.

<http://rcin.org.pl>



III-8251

TREŚĆ:

	<i>Str.</i>
Dryndziarz a partje polityczne p. J. Korczaka	3
Sąd Minosa p. Makarowa	5
Nie zapomnij historyku... p. H. Lukreca	8
Krówka Boża p. B. Winawera	14
Z notatnika wykolejńca p. Bolesława Szyszkowskiego	16
Drogą p. Wł. Gackiego	18
Młodej Polsce p. Avantiego	21
Bajki i morału zmienność p. Avantiego	22
Ofiara p. J. St. Mara	24
Bąk z blachy i laleczka z serwskiej porcelany p. J. St. Mara	25
Mężczyzna oskrzydla kobietę... p. H. Krzemieniecką	26
Z mąk duchowych p. W. Wolskiego	27
A gdy nad łóżem mego zgonu... p. W. Rzymowskiego	28
Najpiękniejszej — w karnecie p. B. Herbaczewskiego	28
Jeśli zbożnym pragniesz być... p. H. Juskiewiczza	29
Z chwili p. A. H.	30
Nadesłane	31

Dryndziarz a partje polityczne.

I.

— Dorożka, — wolny?

— Wolny.

— Wiejska, — za 15 kop.?

— O, o, o...

— Będziesz stał, nic nie zarobisz.

— Ale złotówka?...

— A czyż 15 kopiejek, nie pieniędzy?... Sześć razy po 15 kopiejek — to prawie rubel...

Jadą, — dojechali.

— No widzisz?... Ale konie musisz podkuć...

I stronnik *polityki realnej* wysiada, — zadowolony, że wzbudził poszanowanie dla nieznaczących a pewnych zysków i dał radę praktyczną — ludowi.

II.

— Mój bracie, nie mógłbyś mnie zawieźć na ulicę Freta?

— Czego nie?...

— Ale jedź przez Grzybów; tam się chwileczkę zatrzymasz. I na Długiej wstąpię do sklepu na momecik.

Jadą... zatrzymują się... Jadą... zatrzymują się...
Dojechali.

— Masz tu, dziecko moje... A szczęście ci Boże... A tu masz jeszcze cztery grosze, — ale nie na piwo, — tylko na karmelki dla dziatki... Bo wódka truje, mój synu...

Chrześcijański demokrata wysiada, zadowolony, że duszę zbawił i pozbył się czterdziestówki fałszywej, którą mu wkręcili pewnie w sklepie... żydowskim.

III.

— Ej, drynda... Nowy Świat... Jeno ostro...
Bata nie żałuj szkapie...

— Słucham, jaśnie panie.

Jadą... jadą... jadą... Dojechali...

— Co, czterdzieści groszy za taki kurs?

— Bierz ile dają i nie gadaj...

— Co nie mam gadać?... Taki kurs?

— Mało ci?

— A mało!... Taki wielki pan...

— ... Może stójkowego zawołać, to ci dołoży?...
Przepraszam, ale — *narodowy demokrata* daje lek-

cję posłuszeństwa — ludowi.

IV.

— Cóż, panie dorożka, — pojedziemy?

— A dobrze.

— Za złotówkę?

— Proszę pana... Taksa!

— Taksę policja ułożyła, a my — po naszymu, —
no co?

— Droga kiepska!

— Bo nie mamy autonomji, ba — głupiego samo-
rządu nie mamy... No cóż? — Nasza polska złotówka?

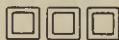
— Niech pan siada!...

Postępowy demokrata agituje — lud.

V.

Jeszcze bardziej *lewi*, nie jeżdżą dorożkami: albo dawno już pojechali, albo chodzą piechotą, albo siedzą...

J. Korczak.



Sąd Minosa.

Bajka.

*Dość o zwierzętach bajek! O ludziach opowiem,
Bowiem*

*Dotknięte porównania złośliwą ostrogą
Na potwarcę zwierzęta oburzyć się mogą.*

*

*

*

*Każdy (choćby maluczkiej człowiek uczoności)
Wie przecież, że w starożytności
Minos sędzią najwyższym był piekielnych włości.
Nie dziw więc, że pewnej nocy,
Właśnie, jak kamień, wyrzucony z procy,
Przed zaspane oblicze Jego Ekscelencji
Figlarny służka nadbiegnie i rzecze,
Iż Charo przywiózł w łodzi dwie dusze człowiecze
I pokornie (na piśmie z marką) prosi audjencji,
Rezolucji,
Ekzekucji*

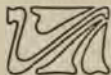
*Bez czezej pobłażliwości ani tolerancji,
Jak przystoi sądowi najwyższej instancji.
„Niech wejdą”. Minos rzeknie. Był już nieco gniewny,
Bo śpiący, dygnitarSKI sen nie jest powiewny,
Jak wie każdy, kto nawet w szkołach się nie uczył.
Wnet Charo drzwi otworzył, a dusza przy duszy
Stanęła; była każda okazatej tuszy,
(Jak ten wieprz, co go wieśniak na święto utuczył)
A że nie pozbawiona ludzkiego wyrazu,
Co na ziemi czyniła, zgadł Minos odrazu,
Jedna bowiem (perskiej hołdując modzie)
O wąsach i brodzie
Niedoczesanych — w haftowanym stroju,*

W dużej czapie na małej głowie, jak papuga,
Barwami mieni się. Zaś druga,
W greckiej szacie, w doryckim pasie i zawoju,
Wąs sumiasty — tak każe moda kolonialna,
Czyli prowincjonalna, —
A był to grek z kolonji zaboru perskiego.
Gdy tak przed lice sędziego
Wielmożne — oba blade postawiono duchy,
Zaklął gniewnie: „Wy, opasibrzuchy,
Opoje! (I tak dalej: sędzia był niegrzeczny);
— Mówcie, byle najkrócej, kto jakie zasługi
Z ziemskiej przynosi żeglugi,
Bym nie zasrogi wydał wyrok ostateczny“,
Wnet persowa dusza
Westchnęła i rzeknie: „Niech wściekle
Męczy mię w piekle
Zasłużona katusza,
Jeślim nie był na ziemi,
Szanowany,
Zachwalany,
Uwielbiany
I jeżelim nie skonał w randze podsatrpy,
Przy kielichu, jak tradycja każe.
Com uczynił, tego rdza wieków nie zmaże.“
Tu dusza (dumnie nieco) spojrziała z pod czapy,
Westchnęła (Minos ziewnął) i tak dalej prawi:
„Szerzyłem pośród Greków rzeszy niepokornej
Perskość. Niech mnie powtórna apopleksja zdławi,
Jeślim nie był gorliwy i pełen przezornej
Czułości: płatnych oczu miałem dwa tysiące,
Żywiłem pięciu katów — i nawet, jeżeli
Nie zwodzi pamięć — siedmiu lejb-donosicieli,
Którzy tu chyba na mnie czekają w sionce.
Stale mam ich przy sobie: chłopcy zdadni,
Dobrze płatni,
Akuratni,

Solidni: na skinienie — między rzeszą bosą
Bunt zasieją, bunt wzniecą — a potem... doniosą.
Prawy byłem Minosie... Bądź że sprawiedliwy".
Tu gniewną twarz odwrócił sędzia niecierpliwý
I wnet drugą duszę bada.
„Grek jestem, — ta druga powiada,
Grek uciśniony, biedny, właściciel fabryczki,
Wyrobiającej perkaliczki.
Ojczyznę mą miłością ukochałem czynną:
Chociaż ganilem ostro młodych bunt nieplodny,
Zawszem mawiał — gdy słuchacz był pewny i godny —
Z konieczności tylko pocichu,
I przy kielichu,
Że greckie miasto, greckich satrapów mieć winno,
Greckich, rodzimych donosicieli,
Greckich katów na greckich wichrzycieli;
Nawet (że chcę mówić szczerze)
Jedynie przez miłość kraju
I dawnego obyczaju
Poprzestałem na greckiej tej naszej heterze
I właśnie... w jej objęciach skonałem tej nocy,
Jakem żył: etycznie
Bo — i patryotycznie...“
Gdy mowy, zakończonej wielce patetycznie
Dostuchał władca tartarowych mocy,
— Duma, rozważa, zasępionym wzrokiem
Za niepochwytnym goni wyrokiem,
Wreszcie rzeknie: „Za taką czelność
Zapiękną nawet w piekle nieśmiertelność.
Na ziemię powrócicie. Lecz dusza
Satrapy — niech do ciała greckiego wyrusza,
Doryckiego zaś patryjoty
(Podobna co do joty),
Zamieszka w perskim ciele.
Nie dojrzą zmiany nawet lejb-donosiciele!“
To rzekłszy, zaklął Minos brzydko a dosadnie,

*Pchnął dusze z tyłu... Wyszedt... Gdzie zacna para
spadnie
Nie powiem. Niech czytelnik domyślny — sam zgadnie.*

A. MAKAROW.



Nie zapomnij, historyku...

Pewnego dnia Kirił Mitrofanowicz, urzędnik więzienia, został uwolniony ze służby. Fakt ten, sam przez się, nie przedstawia nic osobliwego. Powód wydalenia również niczem szczególnem się nie odznacza. Sformułowano go krótko: „za nadużywanie alkoholu podczas pełnienia obowiązków służbowych“. Co prawda ludzie wtajemniczeni podawali inne przyczyny tego smutnego faktu. Jedną z przyczyn pozwolimy sobie tu przytoczyć z tego względu, że nas ona wprowadza w sferę okoliczności, które są ciekawe dlatego, iż nie każdemu śmiertelnikowi towarzyszą w jego doczesnej wędrówce.

Otóż, pewnej nocy, kiedy nasz urzędnik pełnił swój zwykły dyżur, naczelnik więzienia wszedł niespodzianie do kancelarji i zastał Kiriła Mitrofanowicza, schyłonego nad książką poważnej objętości, o treści głębokiej, nie sensacyjno-skandalicznej. Było to dzieło o wielkiej Rewolucji Francuskiej. Kilka tomów w tym samym przedmiocie, rozłożonych na stole, świadczyło, że Kirił Mitrofanowicz pilnie studjuje tę kwestję, wszechludzkiej do-

niosłości, — studjuje ją gruntownie, gdyż sięga do rozlicznych źródeł, rozpatruje kilku autorów, którzy z różnych punktów widzenia oceniali wypadki, zasłże w tej pamiętnej epoce. Jedna tu jeszcze okoliczność zasługuje na bliższą uwagę. Mianowicie ta, że we wszystkich tych książkach, wszystkie te miejsca były popodkreślane czerwonym ołówkiem, gdzie jest mowa o wielkim działaczu doby ówczesnej — Kamilu Desmoulin'ie i o jego żonie, znanej zarówno z niepospolitej piękności, jak i rozumu—Lucyli.

Wszystkie momenty, począwszy od pamiętnego dnia, kiedy Kamil Desmoulin wygłosił swą płomienną mowę w Palais Royal'u rzucił w tłumy historyczny okrzyk: Aux armes, citoyens! aż do dnia, kiedy trybun wraz swoją żoną złożyli głowy na gilotynie, zostały skrzętnie odnotowane przez Kirila Mitrofanowicza na arkusiku papieru listowego.

Zwierzchnicy naszego urzędnika nie rozwiązywali ciekawego problemu, — niezwykłego zainteresowania się wyłącznie losem Kamila i Lucyli, których dzieje studjował w brudnej i zakopconej kancelarji więziennej. Zwierzchnicy okoliczność tę przypisali pewnym nienormalnościom psychicznym, jakim często ulegają ludzie, nadużywający alkoholu. Nie wdając się w wszechstronne badania i nie wszczynając szczegółowego dochodzenia, które mogłoby pociągnąć za sobą bardziej przykre skutki, władza ograniczyła się jedynie natychmiastowem wydaleniem ze służby Kirila Mitrofanowicza.

A szkoda, że nie wydobyto w całości na światło dzienne pomysłów naszego bohatera. Kreślilibyśmy wów-

czas opowieść tę z bezpośredniego i wiarogodnego źródła,—bardziej wiarogodnego, niż wielce pośrednia i wielogębna fama. Dowiedzielibyśmy się bliżej, że w więzieniu, w którym Kirił Mitrofanowicz pełnił swe obowiązki, na krótko przed zaszłym wypadkiem, wyżej opisanym, los zetknął go z mieszkanką celi, kobietą, która urzekła go z pierwszego wejrzenia swoją klasyczną pięknnością.

Z jej to namowy, dla uzupełnienia swej wiedzy, w celu zrozumienia bieżącej doby, Kirił Mitrofanowicz zabrał się do studjów nad przeobrażeniami społecznymi ze schyłku XVIII-go stulecia. Dziwnymi drogami myśli i niepojętą siłą asocjacji urzędnik nasz połączył postać Lucyli Desmoulin z mieszkanką celi, Ludmiłą Dąbrowiecką. I w miarę poznawania pierwszej z dzieł historycznych i drugiej w czasie przypadkowych dziesięciminutowych widzeń, Kirił Mitrofanowicz upewniał się w nadzwyczajnem podobieństwie tych dwóch istot, i coraz to nowe spozstrzegał pokrewne cechy, łączące Lucylę i Ludmiłę. Jedna i druga posiadały jasne i piękne głowy, jedną i drugą cechowały rozum i rozwaga, jedna i druga służyły jednej idei.

Poznawszy Lucylę i zgłębiwszy jej psychikę, Kirił Mitrofanowicz usiłował dokładnie odtworzyć postać Kamila Desmoulin'a. Umysłowość jego i talent krasomówczy zdołał poznać ze zgodnych szczegółowych opisów historyków. Natomiast, trudność przedstawiało wyrobienie sobie pojęcia o powierzchowności trybuna, którą dziejopisarze niedostatecznie uwzględnili. Ostatecznie jednakże, kombinując obrazy, jakie mu nasuwała wyo-

braźnia — Kirił Mitrofanowicz przyszedł do przekonania, że Kamil Desmoulin musiał być bliźniaczo podobny do jego osoby—t. j. musiał być tak samo chudym i wysokim, chodzić musiał w zaniedbanym ubiorze, nieuczesa-ny i t. d.

Długie wieczory spędzał nasz urzędnik na tapczanie kancelaryjnym, przejęty tą niezachwianą pewnością, że mieć będzie zawsze przy boku swoim piękną Ludmiłę Dąbrowiecką. Dzięki jakiejś dziwnej wyroczni, dalsze lata jego życia muszą popłynąć niechybnie tą drogą, jaką widział w swoim umyśle. Szczegóły z tego przyszęłego życia, z życia jego i Ludmiły, przygody, sława, tryumfy i zawody, a nawet śmierć były mu dobrze znane z długich i niespokojnych nocnych rozmyślań.

Z woli wyższej, niepojętej mu łaski, historia Kiriła Mitrofanowicza i Ludmiły Dąbrowieckiej,—to historia Kamila i Lucyli Desmoulin'ów. Wierząc głęboko w tę nieodwołalną konieczność, urzędnik nasz począł się przygotowywać do przyszłej swej misji, zagrzewać się do czynów, hartować myśl i serce, by móżdżek na zawołanie dziejów stanąć pełnym ducha na oznaczonym stanowisku. W myśl tego—począł próbować swych zdolności krasomówczych w chwilach wolnych od zajęć, a nawet i podczas pełnienia obowiązków służbowych, jeśli znalazł się sam w kancelarji więziennej. Mierzył wówczas wielkimi krokami obszerną stancję, gestykulował, wskakiwał na stołek i wygłaszał mowę słowami Kamila Desmoulin'a, wypowiedzianą w ogrodzie Palais Royal'u, którą kończył gromkim okrzykiem trybuna: Aux armes, citoyens!

Zwykle po tych próbach wpadał w stan silnego zdenerwowania, które odbierało mu zasłużony spoczynek. Wówczas wychylał butelkę boskiego trunku i, utyskując nad tą słabością, nie licującą z przyszłą jego rolą, wpadał powoli w stan upojenia i unosił się szybko w krańcą fantazji.

Trwało to tak bez szczególnych zmian, które zasługiwałyby tu na uwagę, do chwili, kiedy nastąpił smutny fakt uwolnienia ze służby Kirilla Mitrofanowicza. Z woli historii chwila ta przypadła jednocześnie z momentem, kiedy biła godzina wielkich wydarzeń i nastąpił początek misji naszego bohatera.

Wszystkim pamiętny jest dzień październikowy, kiedy ekstaza powszechna doszła do apogeum. Jeden Kiril Mitrofanowicz nie podzielał tej radości. Jego marsowa fizjonomja dziwnie odznaczała się od uśmiechniętej twarzy ludu. Szedł zgarbiony, skurczony, głowę wtuilił w kołnierz. Wędrował w pochodzie oto już od dziesięciu godzin z jednej dzielnicy miasta do drugiej, badał nastrój, mierzył gorączkę tłumów, lecz nie mógł upatrzeć chwili, kiedy, jak niegdyś Kamil Desmoulin w jednym mgnieniu opanuje masy siłą swego talentu krasomówczego i rzuci w nie bojowe hasło: Aux armes, citoyens! Powtarzał wzorowo wyszkoloną mowę, zbierał w sobie energję, skupiał odwagę i siły, dostatecznie przejęty swem posłannictwem dziejowem, lecz nadaremnie,—stosownego momentu uchwycić nie mógł.

Tymczasem dziesiątki tysięcy ludzi—widocznie począły maleć,—pozostawały zaledwie tysiące, setki.

Kirił Mitrofanowicz, czując, że oczekiwana chwila mija spokojnie bez pożądaných wyników, wpadł w stan zniecierpliwienia. Gdy w parę godzin ulice opustoszały, nastrój jego graniczył z rozpaczą. Chciał krzycheć, nawoływać tłumy do zatrzymania się na miejscu; chciał wołać by czekały nań, gdyż on musi przemówić, wypowiedzieć co winien powiedzieć im—tym ślepym masom, które włóczą się z miejsca na miejsce, od ratusza do dworca, od dworca do posągu Mickiewicza i z powrotem, nie wiedząc co tracą, nieczując, że wybija wielka godzina i uchodzi nazawsze, w nicość. Stało się. Kirił Mitrofanowicz został sam na pustych placach, na pustych ulicach, wśród cmentarnej ciszy.

Dniało... Zmęczony całodziennem chodzeniem siadł na skwerze, otaczającym kolumnę Poległych na Zielonym Placu, sięgnął swoim zwyczajem po butelkę z wódką, której potrzebę uczuwał szczególnie w chwilach męczących przeżywań. Wkrótce wpadł w jakiś nieokreślony stan błogości, pomieszany z rozpaczą, w stan jakiegoś drzemania, połączonego z jasnowidzeniem... Oparł głowę na poręcz ławki, wyciągnął nogi i począł ważyć coś w myślach... Wtem porwał się, przesadził łańcuch, obejmujący kolumnę, wskoczył na stopień jej i krzyknął straszliwym głosem: Aux armes, citoyens! Aux armes, citoyens! Okrzyk ten, mający elektryzować tłumy, ginął bez echa w oddaleniu, w brzasku dnia jesiennego—i powtarzany coraz ciszej, coraz słabiej, stawał się podobny do niewyraźnego bełkotu,—wreszcie ucichł zupełnie. Kirił Mitrofanowicz głęboko i głośno zachrapał...

Przyszły historyku, jeśli badać będziesz minioną epokę, jeśli szukać będziesz różnic, zachodzących między rokiem 89-ym a ubiegłą dołą, nie zapomnij o Kirile Mitrofanowiczu, śpiącym u podnóża kolumny Poległych na Zielonym Placu w Warszawie.

Henryk Lukrec.



Ζῶν ἁγιωτατων.

Krówka Boża.

(Myśl z Teodora Etzla).

BAJKA.

Ot, co wam powiem:
Dłubała — raz (jak zwyczajnie)
Krówka Boża w dużem łajnie
krowiem.

Dłubie sobie, a skrobie, żuchwą miele.
Raz wraz spocznie mało — wiele,

i wącha
parne wydechy,
i wącha,
i z uciechy
lśni, jak koncha.

I znów dłubie, skubie, wierci
kręte perci,
chody kręte,
i — że to festina lente —

znów se spocznie, wonie chłonie,
i wzdycha:

„*Mądje!* Pycha, pycha, pycha!
„Ambreę czuję nadzwyczajną,
„Co za łajno, co za łajno.“

Wtem, gdy tak z rozkoszą wnika
w miąższ pachnącego piernika,
gdy tak maca, wącha, cmoka,
używa, jak w siódmym niebie

(E, więcej *nierównie!*),
szepnie jej Motyl zwysoka:

„Pani bdzika grzebie
„w g*)?
„Ano — różne są gusta“...

„Co? w czym? Ha! Tak brukać usta.

„Czyli pyszczek... Takie słowa!...
— (Krówka Boża gniewem parska) —

„Taka mowa
dorożkarska!...

„Ha!... The... Drzę z odrazy...
te wyrazy!... *Mądje!*...

„... To... to... to jest bez mała!“

Szlus. Zemdląa.

Bruno Winawer.

*) To właśnie jest z Etlza.

Z notatnika wykolejénca.

Drzewa, latarnie, słupy telegraficzne pełzają u mych stóp.

To trudno, pełzają... Ty się z tem nie zgadzasz, obywatelu. Masz rację. Przed tobą nigdy drzewa ani słupy nie pełzały.

Co prawda twa rola jest nieskończenie poważniejszą. Ty sadzisz te drzewa, stawiasz te słupy i latarnie, a jednak one pełzają tylko przedemną...

— Dlaczego, pytasz?

Bo ja bywam tam, gdzie ty nigdy nie będziesz.

Oto, zwróć swój paluszek w górę, pionowo, w górę. Mówiono ci, gdy byłeś mały, że tam Bozia mieszka.

Prawdę mówiono. Ja tam chwilami bywam. Wysocka, widzisz, protekcja...

A wtedy u nóg się moich ślaniają nie tylko słupy telegraficzne, ale nawet twoja kamienica, twoja rodzona czteropiętrowa kamienica. I na to niema żadnej rady, obywatelu.

Ty masz za to inne satysfakcje. Jesteś naszym znanym i szanowanym. Masz dobrą kucharkę i pełną żonę. Należysz do „Towarzystwa opieki nad zwierzętami“ i dajesz składki na głodnych robotników. Posyłasz do gimnazjum synowca, którego ojciec poszedł złą drogą. Jesteś porządnym człowiekiem.

Tak, porządnym człowiekiem. Wielu z was należy do takich, co krzyczą: „Bij żyda“, bo kram Szwindlerszejna psuje im własny interes, i „Niech żyje Polska“, bo otworzą się nowe posady policjantów, cenzorów i dozorców więziennych.

Z takimi nie rozmawiam. Ja mówię do porządnym obywateli, grubym i porządnym.

*

*

*

Spotkaliśmy się u dziewczyny, u takiej dziewczyny.
Bywasz u niej od czasu do czasu. Najczęściej co sobota.

Podoba ci się niewinny odcień jej buzi. Lubisz u kobiety skromność. Najchętniej poleciałbyś na pensjonarkę.

Gdy się żegnasz z dziewczyną, dajesz jej rubla.

Dajesz jej rubla — otwarcie i uczciwie.

Jesteś legitymistą i nie skrzywdzisz nigdy „takiej“ dziewczyny.

Ja także daję jej rubla, lecz daję ukradkiem, jak-by skrycie, najczęściej zostawiam niepostrzeżenie na stole.

Raz rubel brzęknął niedyskretnie. Brzęk ten uderzył mnie w twarz.

Ty — — — rzucasz z wysoka na stół rubla, by pokazać, że nie fałszywy.

*

*

*

Podśluchałem cię, gdyś z ganku swego szlacheckiego dworu krzyczał:

— Jesteśmy wielkim narodem. Do ofiar jesteśmy skłonni, lecz tylko do ofiar. Na gwałt się nie zgodzimy. Przez gwałt nie puścimy ani piędzi ziemi, tej ziemi, która tyle potu, krwi, łez etc.

Tak, przede wszystkim lojalizm. Porządek prawny.

O! Ty wiesz, co to jest prawo. Ty, wychowańcze kodeksu Justyniana, nie zapomniałeś, co najklasycyjniści czciciele prawa własności powiedzieli wogóle o „summum jus“.

A jednak, gdy święta ziemia, czarna ziemia, uznajona ziemia podniesie zgarbiony grzbiet i wyrzeknie: „To moje“ — ty nie omieszkasz wołać, że staje się największy z gwałtów świata.

A to prawo, mocą którego dziedzice tak pięknych nazwisk, jak Potoccy, Zamoyscy, Lubomirscy et consortes władają ziemiami, na których pocą się i grzebią Lesiuki, Hołodunki, Dewajtisy, — to prawo nazwiesz *świętem* prawem własności.

Obywatelu! Napisz na drzwiach swego dworskiego śpichrza wyraz: *Świątynia* i spraw swym gumienym uroczyście szaty kapłańskie.

*

*

*

Powiedziałeś mi kiedyś poważnie:

— Demokratą być może tylko ten, kto nic nie ma.

Święta prawda. Ideje idą z dołu. Podobno jedno z panujących wyznań było również niegdyś religją *nędzarzy*.

Bacz, by o twym wyznaniu nie powiedziano, że jest religją *nędzników*...

*

*

*

A jednak obywatelu, te gorzkie słowa, coś słyszał odemnie, są niesłusznie przeciwko tobie zwrócone, albowiem ty jesteś tylko grubym i porządnym obywatelem.

B. Szyszkowski.



Droga.

Skłębionych chmur szaro-sinych opona zawisła nad bezbrzeżną równiną czarnych, ogołoconych pól. Gdzieś-niegdzie krzewów i drzew nagich gromada. Jaśniejsze plamy, znaczące chaty rozsiane. I dymów szerokie smugi, pełzające po ziemi. Tu i owdzie stogi, samotnie sterczące. I krakanie wron, zrywających się z zagonów.

Śród szarzyny jesiennego dnia, przez pola puste wije się droga, grubą warstwą lepkiego błota wysłana. Chłop pędzi drogą krowę do miasta.

Idą obok siebie powoli, bo droga ciężka i zmuDNA.

Wielkie wykrzywione buty chłopca grzęzną w mazi; wyciąga je co chwila, jak dwa sopte błota; zatrzymuje się, otrząsa o kamień przydrożny, by móc iść dalej.

Pot z czoła ociera rękawem.

— A nuże, łysa, a nuże, toć jeszcze kawał drogi przed nami!...

Łysa odwraca łeb, spogląda wielkimi cierpliwymi oczyma w duszę chłopca.

— Markotno ci łysa? ano, znać taka wola Boża...

Żal ścisnął serce.

— A nuże, łysa, a nuże, pókiś ze mną, krzywdy ci nie będzie!

Z powrozem zarzuconym przez szyję stąpa łysa powoli. Z pod jej racic pryśnie niekiedy kawał błota i spadnie na sukmanę lub na twarz chłopca. Wytrze błoto rękawem w milczeniu, bez sarkania.

— A nuże, łysa, a nuże, niebogo! Nieurodzaj był, wszystko w polu przepadło—niema innej rady!...

Gładzi miękką, lśniąca szerść łysej.

— Dadzą 35 papierków, czy nie dadzą? Na wiosnę dawali...

Zaturbowała się myśl chłopca. Łysa znów odwróciła łeb, zatopiła głębokie spojrzenie w duszy chłopca.

Zatrzymała się, łeb zwróciła ku polom; nozdrza wilgotne podniosła do góry i ryk długi, żalony rozbrzmiał, rozplynał się echem przeciągłym po pustych polach...

I serce chłopca kamieniem zaciążyło w piersi.

— Markotno ci, niebogo! Niema innej rady—nie dał Bóg plonu, trza się dobytkiem ratować!...

Znów ryk żalony wyrwał się z wilgotnych nozdrzy łysej.

Podrapał się chłop w głowę. Naprężenie myśli skreśliło czoło głęboką brózdą.

— Jak nie dadzą 35 papierków, to cię nie oddam! A nuże, łysa, nie markoć się tak srodze, może jeszcze do obórki cię wpędzę...

Zamroczyła się twarz chłopca. Czarna troska wchłonęła ostatni przebłysk nadziei.

— Niema innej rady! choćby nie całe 30 papierków dawali, muszę cię oddać, niebogo — jak cię nie sprzedam, to mnie sprzedadzą!... A nuże, łysa — jedy-naczko, na rzeź pójdziesz, bo innej rady niema!...

Westchnął i kawałkiem chrustu popędził łysę.

Łysa zwiesiła łeb. Chłop ciężko opuścił głowę na piersi.

— Kuźde stworzenie czuje, co je czeka...

Idą obok siebie, bo droga ciężka i zmudna.

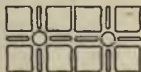
Z pustych pól zrywają się wrony, kracząc przera-żliwie. Dym drażni nozdrza: do miasta już niedaleko...

— A nuże, łysa, a nuże, — choćby 30 papierków nie dawali, muszę cię ustąpić!

— Na rzeź, na rzeź, a nuże! A nuże, łysa, kar-micielko moja! Droga nasza ciężka i zmudna, a nuże, dolo moja, a nuże!...

Władysław Gacki.

Lozanna 1907 r.



MŁODEJ POLSCE.

Był król zwan Mecen—kochał przeto
obrazy—księgi—szkło—marmury,
a gardząc jawą by kobietą
na rzeczywistość spluwał z góry,
dla sztuki żył i jej proroków
i miał czterdzieści siedem roków,

Dyonizyjski szat pęcherza,
chorobę mlecza—niemoc męską—
dla królewskiego bogo-zwierza
kaptonem być jest wielką klęską.
Królowa, dama lat trzydziestu
stan taki znosi bez protestu.

W komunie ducha żyją razem
i dzielą łożę bezowocnie:
król sypia z księgą lub obrazem
i tak się dzieje kaźdonocnie,
lecz w dzień, gdy król się w sadach chłodzi
— w chram sztuki przenikają młodzi.

I oto leży Mecen zabity
dwie smukłe świecą mu źrenice
— królowa wdziała czarny habit
i wyjechała—za granicę
z pazim (rzecz prosta że nie sama).
I tu się rodzi nowe drama.

W rok potem orłoszumną kiecką
królowa płoszy sen cmentarny.

*Na rękę — — — trzymiesięczne dziecko!...
Cyprysy chwieją się na straży,
Niechają głową grzechu dzieje—
królowej w oczy—kruk się śmieje...*

*(Podobnie, gdy się dzieło stawa
zawistne durnie mnie bezczeszczą)
Upiornych szeptów nieciekawa,
królowa—matka z dumą wieszczą
na marmurowej płycie włoskiej
nakreśli takie oto zgłoski:*

Ci gît un Cadavre nommé Jeune Pologne.

— Co się tłómaczy:

*Miałeś, królu, złoty róg—
ostał ci się jeno — — róg!*

AVANTI.



BAJKI I MORAŁU ZMIENNOŚĆ.

Śmierć śmierci, a prawda prawdzie równa:

*„Nie usiądzie orzeł w... chlewy“
— rzekł Wyspiański, zda się...
Orzeł, pojmany
i zawarty w chlewie*

(o innym czasie)
prawdę tak gorącą
o niewoli trądzie
gdy wyczytał,—rzekł dostojnie:
„Pewnie, że orzeł w chlewy nie usiądzie
— kto o tem nie wie,
ale go... wtrąca
i zatluką kijem,
bo otoc mur i na nic orta jednego potęga!“

— Falsz! falsz!—gwizdnął szczur,
sięgaj, gdzie wzrok nie sięga!
my—przecie żyjem!
w naszym chlewie
każdy kowa
swoje szczęście—
rzecz nie nowa—
trza—mieć—pięście:

Słowo—czyn...
Raz—dwa...
Mało—wiele
Żreją szczury Orta
jak myszy Popiela—
Orzeł zdecht—
Szczur żywie—

Hurra!

AVANTI.



O F I A R A.

Mówiłem do niej:—Dziewczę moje,
Miłość w mem sercu ogniem gorze,
Ja dam ci uczuć czystych zdroje,
Ja ci me serce u stóp złożę!

Dla ciebie, moja ty dziewczyno,
Ja lutnię mą od dziś nastroję,
I pieśni, które z niej popłyną,
Tak jak i pieśniarz będą twoje!

Ja dam ci szczęście tajemnicze,
Co cię upoi niby wino,
Ja ci najskrytsze dam gorycze:
Pioluny łez moich, dziewczyno!

Dziewczyno, milczysz?! Dam więc tobie,
To, co mi zsyla boskie wzloty,
Co miało spocząć ze mną w grobie:
Klucz do mej duszy szczerozłoty!

— Ach daj, ach daj mi go o luby,
Już nie poskąpię ci pieszczoty!...
Tylko mi powiedz... jakiej próby
Jest ten twój kluczycz szczerozłoty?

JAN STANISŁAW MAR.

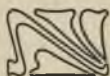
BAK Z BLACHY I LALE CZKA
Z SEWRSKIEJ PORCELANY.

*Bak się zakochał bez pamięci
W lale czce z sewrskiej porcelany.
W rozmitowania wir porwany
Wokół swej pani wciąż się kręci.*

*— Ratunku — wołam — wszyscy święci,
Czyż nie widzicie, że blaszany,
Bak się zakochał bez pamięci
W lale czce z sewrskiej porcelany?!*

*Laleczka w tan iść niema chęci,
Bo ją zawrotne straszą tany;
Szepce więc skromnie: — To mnie smęci,
Że tak grubjańsko opętany
Bak się zakochał bez pamięci.*

JAN STANISŁAW MAR.



* * *

Mężczyzna oskrzydla kobietę wyobraźnią tak długo—póki kocha; ona—aby go mogła ukochać.

Dlatego może kobieta nie tyle stara się o nabycie cnót pozytywnych, jak o wzniesienie w mężczyźnie miłości, która jak słońce światłością swą najuboższy krajobraz opromieni i blaskami osypie.

On opromienić może najpospolitszą istotę, wieńcząc ją aureolą cnót urojonych — tak długo dopóki miłość trwa. Spodloną nawet ostatecznie, w której moralną wartość nie wierzy, kocha jeszcze i przystraja fantazją,—dopóki zmysłami jej pożąda.

Lecz kiedy słońce zagaśnie — przestrzeń staje się martwa i pusta...

Kobieta zaś kocha dopóty, dopóki czcić i uwielbiać może, albo przynajmniej łudzić siebie, iż uwielbienie jeszcze trwa.

Upadłego kochanka żałuje, wierzy w jego nieskałaną czystość, wierzy pomimo oczywistych dowodów, pomimo wszystko; częstokroć w namiętym pragnieniu usprawiedliwienia docierając do takich zasadniczych głębin, w których w najbardziej skalanym człowieku tli jeszcze isierka Boskości. Jestto poniekąd rozpaczliwa obrona własnej miłości; obrona instynktowa, namiętą, ślepa, przed światem, przed sobą samą.

Z utratą szacunku kobieta kochać przestaje.

W niego uwielbienie jest *skutkiem* uczuć gorętszych, u niej—*przyczyną*.

Może dlatego, iż ona szuka w mężczyźnie iskry ducha; on—jej wcielenia.

Hanna Krzemieniecka.



Z MAŁK DUCHOWYCH.

(Z IV-ej serji poezji).

...Tak krwawo tutaj trudzim się i męczym,
W obłądnych, dzikich wizyj dymnym czadzie,
Co nam ołowiem na mózgi się kładzie,
W dusze się wżera polipem pajęczym...

Jak drzewa, dżumnie zczerniałe i schnące
W podzwrotnikowej, suchej łaźni piekle,
W krwawych oparach dusimy się wściekle,
Jak na zapadłej w noc udęczeń łące...

Dusi nas upał krwawej bytu nocy,
Ciężkiej i parnej jak przed straszną burzą,
Gdy Groza chmurą skrzydeł czarną, dużą
Bije step, wyschły na popiół, sierocy...

I, zda się, nigdy, nigdy się nie skończy
Ta potępieńcza, piekielna udreka,
Wąż krwawy wizyj obłądnych, co nęka,
Ściga, jak furyj zielonych tłum gończy...

WACŁAW WOLSKI.



* * *

A gdy nad łóżem mego zgonu
Śmierć się w obłądnym śnie pochyli,
Chciałbym jej ziarno z dni mych plonu
Cisnąć pod stopy w onej chwili.
Albowiem to, co w życiu zmarło,
Odkwitnie kiedyś na mogile,
I co się życiu nie oparło, —
Oprze się śmierci sile.

W. RZYMOWSKI.

NAJPIĘKNIEJSZEJ...

(w karnecie).

Jeżeliśmy nie razem,
jeśli Ci jeszcze
o mej miłości milczeć muszę, —
wiedz, Cudna, że wyrazem
— „kocham“ — wciąż pieszczę,
czarem niezemskim poję duszę...

* * *

Najcudniejsza z miłości
wszak jest tęsknotą
wieczną, co dwojga ust nie łączy,
a w sercu zawsze gości,
w złudnych snów złoto
wpatrzona, w świetlnej śniąc opończy...

Więc chociaż my nie razem,
chociaż dziś jeszcze
o mej miłości milczeć muszę, —
wiedz jednak, że wyrazem
— „kocham Cię” — pieszczę
i czarem boskim poję duszę...

BOL. HERBACZEWSKI.

*

*

*

Jeżeli zbożnym pragniesz być, artysto, —
mieć Boga — (w dwudziestym wszedł dopiero
[wiek!],
by stóp, zboliałych już, twych strzegł
i ścieżką w życie prowadził mniej ciernistą,
to radzę: bądź monoteistą.

Jednej bogini służ, ale służ wiernie — —
ona ci krótszą znacznie poprzez ciernie
drogę wyszuka,
głodowej śmierci lek poda ci miłosiernie
jedyna twa bogini — Sztuka.

HENRYK JUSZKIEWICZ.



Z CHWILI.

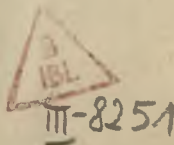
Zapewniono nas, że znana najszerzym sferom naszego miasta wydawczyni pani Pretensja Lewjatanowa, pragnie gorąco wskrzesić niedawno zmarłego

„IZRAELITĘ”

i ochrzciwszy przy bezinteresownej pomocy ks. Chetmickiego uczynić zeń jeszcze jeden organ poświęcony sprawie świętej walki z „Marjawityzmem”.

Z Neo-Apokalipsy: „Onego czasu w obronie genjuszu narodowego Polaków starty się ze sobą dwie góry: EHRENBERG z „Przeglądu Porannego” i WOLBERG z... Jasnej Góry.

Jeżeli prawdą jest, że obecnie arystokracja nasza, choć z bólem, schyla już czoło przed powagą naukową Darwina, to tytuł jej do chwały stoi na całkiem śmiesznej podstawie, albowiem: IM STARSZY RÓD, TEM BLIŻSZY... MAŁPY.



NADESŁANE.

TEATR NARODOWO-DEMOKRATYCZNY.

Dziś

na benefis

tenora DMOWSKIEGO,

który, straciwszy doszczętnie tak świetny ongi głos, musi
się jąć innego rzemiosła,

po raz pierwszy

ZMIERZCH BOGÓW.

TEATR POSTĘPOWO-REALISTYCZNY.

Dziś

głośna operetka

„WESELI SPADKOBIERCY“.

W akcie 1-ym „Kankan radosny“
wykonają p. p. Kempner i Straszewicz.

„SPOŁECZEŃSTWO“

TYGODNIK.

Kwartalnie rb. 1 kop. 90, z przesyłką rb. 2 kop. 25.

Warszawa, Żórawia 29. Telef. № 116-67.

Wydawnictwa „Społeczeństwa“:

U. Sinclair. „Trzęsawisko“. Wydanie kompletne w dwóch tomach, z portretem autora. Cena rb. 1 k. 50.

Paulsen. **Kant i jego nauka.** Cena rb. 2.

Ribot. O wyobraźni twórczej. Cena kop. 25.

H. Höffding. Zasady etyki. Cena kop. 25.

J. Wł. Dawid. Zasób umysłowy dziecka. Cena kop. 50.

J. Wł. Dawid. O wykładzie psychologii. Cena kop. 30.

J. Wł. Dawid. Mózg i dusza. Cena kop. 30.

J. Szczawińska. Pensje żeńskie. Cena kop. 15.

O. Bauer. Zagadnienie narodowości. Cena kopiejek 50.

C. Snyder. Obraz świata, według najnowszych badań przyrodniczych. Cena rb. 1,30.

Do nabycia we wszystkich księgarniach i w Administracji „Społeczeństwa“.

T. KOŁOMAŃSKI i S-KA

DRUKARNIA

WARSZAWA, NOWY ŚWIAT 40. Telef. 68-81.

<http://rcin.org.pl>

20

III

8251